CENA 30 GR.

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI

·TYGODNIK·ILUSTROWANY·

ROK VII. WARSZAWA, 3 KWIETNIA 1938 R. Nr. 14 (253)

Nieco o trockizmie

Dla wszystkich od dawna stało się jasnym, że tak często używany i nadużywany w prasie sowieckiej termin „trockizm" — jest określeniem zbyt elastycznym i, co najmniej, podejrzanym.

Rzeczywiście, rozpiętość zjawisk obejmowanych w ZSRR pojęciem „trockizmu" jest zdumiewająco szeroka. Od wysoce teoretycznych, znanych tylko wtajemniczonym „odchyleń" od obowiązujących (aczkolwiek nieuchwytnych) dogmatów komunizmu sowieckiego aż do nader konkretnych zabójstw poszczególnych agentów władz sowieckich na terenie — wszystko to nosi jednakową nazwę trockizmu.

Do jakiego absurdu dochodzi czasem w tej dziedzinie, świadczy fakt, że zaaresztowani w ZSSR zaraz przed procesem ostatnim (i na pewno częściowo już rozstrzelani) *biskupi* prawosławni oficjalnie zostali oskarżeni jako trockiści...

Jak wiadomo, proces ostatni nosił nazwę oficjalną „procesu bloku prawicowo-trockistowskiego" [1]). Po za mniej charakterystycznymi punktami aktu oskarżenia („zamach" na Lenina, „przyśpieszenie śmierci" Gorkiego itp.) trzon oskarżenia stanowiły: „dążenie do rozczłonkowania ojczyzny narodu sowieckiego" oraz do „likwidacji ustroju kołchoznego", tudzież „przywrócenia w ZSSR czy w jego częściach ustroju kapitalistycznego".

Powstaje pytanie, cóż jest bardziej miarodajnym przy zgłębieniu istoty „trockizmu" w czasach ostatnich: „rozczłonkowanie ZSSR" (a należy pamiętać, że „trockistami" nazywają naprz. od dawna także nacjonalistów ukraińskich), co do którego udział oskarżonych przedstawia się bardziej niż problematycznie, czy „likwidacja ustroju kołchoznego", z czym, przynajmniej teoretycznie, oskarżeni mogli mieć pewien stosunek... w swych marzeniach.

Tak oto mgliście i tajemniczo wygląda kwestia rozszyfrowania terminu „trockizm" na terenie ZSSR. Nic więc innego nie pozostaje, jak zaproponować bardzo ogólnikową, lecz, jak nam się wydaje, najbardziej prawdopodobną hypotezę następującą: *termin „trockizm" na terenie ZSSR — to pseudonim dla najrozmaitszych bolączek, niedomagań i trudności życia sowieckiego oraz pseudonim, stosowany do wszystkich kontrosowieckich usiłowań społecznych — od otwartej antyrosyjskiej „kontrrewolucji" nacjonalistycznej począwszy, do teoretyczno - programowych, wewnętrzno - partyjnych nastrojów opozycyjnych.* „Trockizm" *wewnętrzno* sowiecki jest to synonim wszelkiego rodzaju dążeń do „zmiany stanu istniejącego".

Nieco inaczej i bodaj że bardziej interesująco przedstawia się sprawa „trockizmu", oglądana od strony *zewnętrznej*, spoza ZSSR, że tak powiemy — od strony zagranicznej.

Otóż jest rzeczą wiadomą, że poza granicami ZSSR oficjalnie i niejako legalnie istnieje organizacja zwana *Czwartą* (w „przeciwstawieniu" do Moskiewskiej) Międzynarodówką, która działa, wydaje odpowiednie periodyczne i doraźne publikacje i na której czele stoi — także mniej więcej oficjalnie (formalnie to jest rzecz zawikłana i talmudystyczna) — sam tow. Trockij, przebywający rzekomo na przymusowej emigracji.

Ta Czwarta Międzynarodowa *trockistowska*, jak wnioskujemy z jej publikacyj, demonstruje swoje nieprzejednane stanowisko kontr-Stalinowskie, oburza się i protestuje przeciwko terrorowi Stalina *wewnątrz* partii komunistycznej, ostro krytykuje obecną sytuację partyjno - polityczną i poniekąd gospodarczą w ZSSR, ale 1) stoi na zasadzie tego samego komunizmu marksistowsko - leninowskiego (tylko „czystszego" w porównaniu z „brudnym" stalinowskim), 2) podtrzymuje w całej rozciągłości koncepcję *państwową* i ustrój kolektywny obecnego

[1]) Za pomocą określeń dodatkowych „prawicowo", lub „lewicowo", termin nas interesujący przybiera ponadto to lub inne zabarwienie. Co prawda, odcienie te są jeszcze mniej uchwytne niż sam termin. Dlaczego ostatni proces nazywa się *prawicowo* - trockistowski, na pewno nie wie najbardziej wytrawny teoretyk leninizmu - stalinizmu: przecież główni oskarżeni w tym procesie, jak Bucharin, Ryków i Rakowskij — jeszcze do niedawna uważani byli za klasyczne okazy komunizmu właśnie *lewicowego*.

ZSSR, nie wysuwając żadnych zmian ani ustroju ZSSR, ani reżymu tam panującego oraz 3) jak najgwałtowniej propaguje a) obronę militarną ZSSR, czerwonych Chin i czerwonej Hiszpanii wraz z „frontami ludowymi" w państwach „jedynofrontowych", b) głosi walkę przeciwko wszystkim „faszyzmom", konkretnie przeciwko państwom Niemieckiemu i Włoskiemu, wreszcie c) nie tylko prowadzi działalność propagandową *pro*-sowiecką i *kontr*-„faszystowską", lecz niewątpliwie także działa na terenach sprzyjających otwarcie (Hiszpania i in.) lub skrycie.

Za pomocą „czystego" lub „oczyszczonego" komunizmu - socjalizmu, Czwarta Międzynarodówka kontaktuje się ze starą *Drugą* Międzynarodówką wraz z jej „demokratycznymi" i „ludowofrontowymi" przybudówkami.

W rezultacie „trockizm" — za granicami ZSSR — przedstawia się, jak widzimy, bardziej wyraźnie niż w ZSSR i posiada charakter bardziej konkretny zarówno co do swej nazwy, jak i co do treści.

Nie pretendując tu do szczegółowego ujęcia tematu „trockistowskiego", wysuwamy, nie uzasadniając na razie, *przypuszczenie,* które nam się wydaje jednak bardzo prawdopodobnym.

Zważmy fakt, że „wielka idea", właśnie *legenda* socjalizmu marksistowskiego, realizowana od lat 20 na szczególnie wdzięcznym terenie d. Rosji, uległa, jako idea, wielkiej i już ostatecznej kompromitacji, stała się „nieczystą", a po wyjeździe Trockiego i likwidacji Zinowjewa i K-o — wprost „trefna".

Otóż, czy „trockizm" za granicami ZSSR (a więc także Czwarta Międzynarówka) nie jest planowym usiłowaniem *uratowania* legendy socjalizmu komunistycznego i przechowywania jej *na przyszłość?!*

A więc niech sobie „brutal" czy „wariat" Stalin zanieczyszcza i kompromituje „wielką ideję", my — „trockiści" zachowujemy i „oczyszczamy" ją nadal ku „szczęściu i pożytkowi całej ludzkości", przede wszystkim zaś ku pożytkowi państwowego trwania obecnego ZSSR.

Dr Włodzimierz Kołpaczkiewicz

Starorusini wobec rzeczywistości rosyjskiej w okresie wojny światowej

(Dokończenie)

Dudykiewicz, wódz „Starorusinów", nie został, wbrew powszechnym oczekiwaniom, powołany na żadne urzędowe stanowisko i został usunięty od wszelkiego wpływu. Piastował i nadał tylko godność prezesa „Narodnego Sawietu", naczelnego organu partii, później zaś zginął w więzieniu. Również Głuszkiewicz na swoim stanowisku miał ciężkie przejścia. Między nim a jednym z towarzyszy partyjnych, ze współpracownikiem dziennika „Prikarpatskaja Ruś", przyszło do gwałtownej scysji i tylko ewakuacja „wyzwolonego" Przemyśla przed następującą armią austriacko-pruską położyła kres tej przykrej sprawie.

Władze rosyjskie straciły zaufanie do działaczy staroruskich, a przede wszystkim już ich więcej nie potrzebowały. Toteż w „wyzwolonej" ojczyźnie zabrakło dla nich miejsca... Jak zaś wyglądało to „wyzwolenie" w skali ogólno-narodowej z punktu widzenia ideologii staroruskiej, dowiadujemy się rozpatrując powody, z jakich władze rosyjskie wysiedliły dr Werguna ze Lwowa. Były to żądania, jakie on w charakterze zastępcy prezesa „Galicyjsko - Rosyjskiego Twa" w imieniu „Starorusinów" postawił: „...1) Rosyjskie wojska wkroczyły do Galicji nie jako ciemiężcy, lecz jako oswobodziciele, zgodnie z wydanym na początku wojny manifestem. 2) Dla podkreślenia tego faktu jest celowym wydanie specjalnego manifestu o przyłączeniu oswobodzonych ziem rosyjskich. 3) Galicyjsko - rosyjskiemu Towarzystwu powinny być przyznane uprawnienia równe z towarzystwami czechosłowackimi w Rosji, tj. prawo tworzenia oddziałów wojskowych z galicyjskich jeńców - dezerterów. 4) Pochodzącym z wyboru członkom „Russkiego Narodnego Sowietu" powinny być przyznane uprawnienia równe uprawnieniom działaczy rosyjskich instytucyj ziemskich i miejskich, które zarządzają sprawami pomocy dla Czerwonego Krzyża..."

Zauważymy: ad 1) W przewrotności dyplomatycznego języka czynownictwa rosyjskiego brzmienie pierwszego żądania zawiera ukryty zarzut, że władze wojskowe postępują jako ciemiężcy („porabotitieli"). Bo zresztą pocóż by było o tym mówić i toczyć walkę z wiatrakami? Ad 3 i 4) postawione żądania dowodzą, że władze rosyjskie nie przyznały „Starorusinom" najprymitywniejszych uprawnień politycznych, o jakimkolwiek zaś uprzywilejowaniu nie mogło być mowy. Ad 4) wynika, że Narodnemu Sowietowi nie pozwolono nawet przeprowadzać swobodnie wyborów, skoro zachodziła potrzeba zastrzegać uprawnienia dla członków pochodzących z wyboru. Apetyty zresztą działaczy obozu Dudykiewiczowskiego były znane. Ad 3) Najpoważniej przedstawia się sprawa uprawnienia dla „Narodnego Sowietu" rozporządzania życiem jeńców wojennych. Pułki austriackie — zarówno galicyjskie, jak czeskie i inne — poddawały się częstokroć masowo Moskalom, nie chcąc w ogóle walczyć. Było jednak wielu jeńców takich, którzy poddali się z konieczności. Zmuszanie ich do walki przeciw swemu państwu było zbrodnią tak potworną, że cofnął się przed nią nawet rząd carski. Zresztą nie potrzebował tego, gdyż własnego materiału ludzkiego miał pod dostatkiem. Wprawdzie rekrutacja miała być „dobrowolna", ale chyba nikt nie może mieć złudzenia co do wolności woli na wojnie, zwłaszcza gdy kroczy ona w takim towarzystwie, jak głód, nędza i niewola w obozach koncentracyjnych. Oczywista, że pierwszą ofiarą szatańskiego pomysłu „Narodnego Sowietu" byliby padli przede wszystkim galicyjscy Ukraińcy.

Czynnik społeczny jednak nawet w carskiej Rosji okazał się zbyt silny, żeby władze rosyjskie, nawet wojskowe, mogły się z nim nie liczyć. Nie bez wpływu była też i ta oko-

liczność, że w armii rosyjskiej na wysokich stanowiskach znajdowali się również Ukraińcy *).

Rząd i społeczeństwo — to są dwie potęgi, których dynamika nie zawsze jest skoordynowana. Ale dla tych pojęć i prawd elementarnych „Starorusini" nigdy nie mieli zrozumienia. W ich katechizmie politycznym był wypisany tylko jeden dogmat wiary: rząd. Odkąd wystąpili na arenę polityczną, jako „Tyrolczycy Wschodu", pod których wartą cesarz Ferdynad „mógł spać spokojnie", od 1846 r., roku „Wiosny Ludów", stając przeciw wszystkim narodowym i społecznym elementom walczącym o wolność — „Starorusini" zawsze stawiali na konika rządowego. A kiedy w Austrii, wobec zmiany wiatrów politycznych, stało się to dla nich niemożliwym, *postawili na carat.* Ciemne, bezkrytyczne masy tego stronnictwa, ufające ślepo swej prasie partyjnej, stojącej na usługach caratu, nie miały najmniejszego pojęcia o tym, jaki rozdźwięk zapanował w Rosji między ogółem społeczeństwa rosyjskiego a małą garstką rządzącej biurokracji, kryjącej się za symbolem swoich wpływów, samodzierżawiem. Za tym parawanem nie dostrzegali „Starorusini" społeczeństwa rosyjskiego, które o nich również wiedziało niewiele, a wiedziało przede wszystkim to, co im najmniej wychodziło na zdrowie: że to są sojusznicy i wielbiciele samodzierżawia. Toteż niemiłe było ich przebudzenie z fatalnych złudzeń, kiedy w swym smutnym pochodzie w ogonie cofającej się, rozbitej armii rosyjskiej zetknęli się z tym nieznanym im i nieuznawanym przez nich społeczeństwem oko w oko.

Przyjęcie, jakiego z tej strony doznali „Starorusini", było więcej niż nieprzychylne. Zaiste! Boleśnie musiało być słuchać z ust żołnierzy ubóstwianej armii rosyjskiej takie okrzyki jak np.: „Wy izmienniki! Wy izmienili waszemu impieratoru!" — Albo jakie to musiało być przerażające otrzeźwienie, gdy w rdzennej Rosji padały uwagi szydercze: „Da kakije wy russkije! Wy wowsie nie russkije, wy Palaki". — W takich warunkach walka z ukrainizmem, która stanowiła dotychczas wyłączną treść życia politycznego „Starorusinów", stawała się utopią. I mimo woli każdy lepszy umysł musiał zadawać sobie pytanie: „I po co było tu jechać? Po co tyle męk i ofiar?" Im dalej w głąb Rosji, tym bardziej się oddalali „Starorusini" od ziszczenia swoich ideałów politycznych... Paradoks smutny dla nich, ale prawdziwy.

Osobną kartę w dziejach „Starorusinów" stanowi prawosławie. Stosunek prawosławia do rosyjskości, jego wartość specyficzna, jako jednej z trzech głównych tez nacjonalizmu rosyjskiego, zostały już wszechstronnie wyświetlone. Wspomnieć tu należy znakomite rozprawki na ten temat, wydrukowane w „Biuletynie Polsko - Ukraińskim" 5/35 r .oraz w „Dile" 157/37 r., w której autor tę sprawę wyświetla na podstawie zarówno faktów, jak i cytatów z najpoważniejszych wydawnictw starorusińskich: „Słowo", „Prołom", „Nowyj Prołom", „Russkaja Rada", „Nauka", „Hałyczanyn", „Russkaja Wola", „Prikarpatskaja Ruś", „Hołos Naroda", „Russkij Gołos", „Zemla i Wola", wydawnictwa „Tow. im. M. Kaczkowskiego i t. d. Najjędrniej zagadnienie to zostało ujęte w oświadczeniu pisarza rosyjskiego, Dostojewskiego, że „russkij czeławiek nie może byt' nieprawosławnym", oraz w przedrukowanych w „Niwie" (14/34 r.) wyjątkach z listów pewnego rosyjskiego dostojnika prawosławnego do ostatniego gr.-kat. biskupa chełmskiego, Kuziemskiego, gdzie powiedziano m. in. „wielikaja istina, szto nielzia byt' russkim, nie bywszi prawosławnym", oraz, że rosyjskość z prawosławiem „nierazdielna, kak dusza z tiełom" a „razdzielenija etich dwoch naczał protiwisia prirodie".

Te zasady i poglądy bez zastrzeżeń włączyli „Starorusini" do swego programu politycznego, zwłaszcza do słynnych „reform" Dudykiewiczowskich z lat 1907/9 i na takim stanowisku stoi też do dnia dzisiejszego główna ich polityczna organizacja „RSO", oraz najwybitniejsi członkowie miarodajnego w takich sprawach bractwa cerkiewnego we Lwowie, „Stauropigii" *).

Wobec takiej postawy głównej organizacji politycznej „Starorusinów", nie ma nic dziwnego, że z chwilą wybuchu wojny światowej, władze austriackie, zwłaszcza wojskowe, rozpoczęły represje nie przeciw prawdziwym prawosławnym — w Austrii panowała wolność religijna i religia prawosławna nie podlegała żadnym prześladowaniom — tylko przeciw neofitom prawosławnym i agitatorom, którzy prawosławie propagowali nie z motywów religijnych, tylko dla celów politycznych. Głośną stała się w świecie sprawa stracenia na mocy wyroku sądu wojennego dwóch neofitów prawosławnych na Łemkowszczyźnie, dziekana ks. Sandowicza i jego syna.

Ogół jednak „Starorusinów", choć nawet do prawosławia miał sentyment, po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Galicji i, dziwna rzecz, że właśnie wtedy, najmniej okazał chęci i skłonności do porzucenia wiary ojców. Działała tu nie tyle może nieufność do powodzenia oręża rosyjskiego i drastyczna agresywność duchowieństwa rosyjskiego, przede wszystkim falangi neofitów i agitatorów, rekrutujących się z żywiołów miejscowych, ile raczej szczere przywiązanie ludności rusińskiej do swojej starej wiary.

Stan ten był dobrze znany okupacyjnym władzom rosyjskim, zwłaszcza wojskowym i dlatego właśnie unikały one w dobrze zrozumiałym interesie własnym, zatem ze względów taktycznych, drażnienia ludności miejscowej przez wywieranie niecelowej i niemającej widoków powodzenia presji w kierunku propagandy prawosławia. Tej rosyjskiej racji stanu nie rozumiało jednak nasłane do okupowanego kraju duchowieństwo rosyjskie ze znanym biskupem Eulogiuszem na czele, a przede wszystkim nie chcieli rozumieć miejscowi neofici prawosławni i agitatorzy, dla których wspomniane stanowisko władz rosyjskich było źródłem bezgranicznego rozczarowania, gdyż rozbijało wszystkie ich mrzonki i kombinacje, podrywało ich sztuczny autorytet wśród mas i pozbawiało ich w ogóle racji bytu. Na tym też tle różnicy interesów poglądów i taktyki powstały kwasy i rozdźwięk między przywódcami „Starorusinów" a władzami okupacyjnymi. Wpływy jednak duchowieństwa prawosławnego w społeczeństwie rosyjskim były wówczas potężne i dlatego znajdowało ono niekiedy również wśród władz okupacyjnych powolne sobie narzędzie. Propagandową ich akcję ułatwiała zwłaszcza ta okoliczność, że w wielu miejscowościach, gdzie ludność podpadała wpływom rusofilskiego „Narodnego Sowietu", księża Ukraińcy z chwilą wybuchu wojny opuścili swoje posterunki.

W innym jednak zupełnie położeniu znaleźli się uciekinierzy i ewakuowani Starorusini w Rosji. Tam ich wyznanie tolerowano jeno *tacite*, jako nieuchronne na razie *malum ne-*

---

*) Ciekawy przyczynek do tego przynosi aktor ukraiński, Mikołaj Bencal, w opisie swego przygodnego spotkania z generałem armii rosyjskiej, Nyczajem, który pochodził ze starego, historycznego rodu ukraińskiego („Diło" 212 z 1937 r.).

*) Przyczynek do ilustracji tego stanu rzeczy znajdujemy w wydrukowanym w gazecie „Russkij Gołos" (19/34 r.) opisie ostentacyjno - uroczystego przyjęcia w „Narodnym Domu" we Lwowie (znajdującym się wówczas niepodzielnie w sferze wpływów „Starorusinów") biskupa prawosławnego Sawwy, w którym to przyjęciu prawie *in gremio* udział wzięła cała staroruska elita lwowska, a wśród niej najwybitniejsi członkowie Stauropigii *z seniorem* tej instytucji na czele.

cessarium, a nadmierną oporność do apostazji religijnej uznawano za ich „niebłagonadiożność”, która pociągała za sobą przykre następstwa aż do pozbawienia — w stosunku do osób duchownych — zapomogi, wypłacanej przez „Narodnyj Sowiet” i odebrania możności zdobycia pracą środków utrzymania. Toteż nagminnym zjawiskiem było nawracanie się do porzuconej wiary po powrocie do kraju. Znalazła potwierdzenie stara jak świat prawda, że presja i teror nie prowadzą do zamierzonego celu, gdyż nie dają trwałych wyników, tylko wywołują silną potencjalnie reakcję zgwałconego sumienia.

„Starorusini” galicyjscy, przyzwyczajeni do wolności obywatelskich w swym państwie, nie mogli, mimo tresury, przeprowadzonej przez „Narodnyj Sowiet”, zżyć się z atmosferą niewoli i teroru, panującą w Rosji i względy obywatelskie przenieśli nawet ponad względy uczuć narodowych.

Tym też trzeba tłumaczyć ich masowy powrót do kraju, tak, że w Rosji nie pozostali dobrowolnie nawet najbardziej zagorzali przywódcy rusofilscy, chociaż tam nawet zdobyli znośne warunki egzystencji. Dla państw, w których granicach mieszkają Rusini, powinny te zdarzenia stanowić *memento*, że wolności obywatelskie wiążą nieraz więcej niż uczucia narodowe. Klasycznym zresztą przykładem takiego zjawiska jest mała Szwajcaria.

Wybuch rewolucji bolszewickiej stworzył nową sytuację dla „Starorusinów”, którzy znaleźli się w Rosji. Szare ich masy miały okazję upragnionego powrotu do rodzinnego kraju, natomiast przywódcy partii znaleźli się w sytuacji godnej pożałowania. Nie tylko przed rozpadnięciem się Austrii nie śmieli, ale nawet już po jej upadku długo jeszcze nie mieli odwagi wracać do kraju, gdzie ludność rusińska była na nich oburzona, nie zawsze nawet słusznie. Zdarzały się przecież wypadki, że włościanie nawet tych wsi, które przed wojną leżały w sferze wpływów partii staroruskiej, nie chcieli wpuścić do wsi księży „Starorusinów”, powracających z Talerhofu. W jednej takiej wsi księdza „Starorusina”, zresztą bardzo zacnego człowieka, gdy cichaczem nocą na posterunek powrócił, chłopi już nazajutrz rano wraz z rzeczami siłą wpakowali na furę, zmuszając go do wyjazdu i dając mu na pożegnanie przestrogę: „Jedź z Panem Bogiem i nie pokazuj tu więce jnosa, jeżeli ci życie miłe! To tobie mamy do zawdzięczenia wszystko, cośmy w czasie wojny wycierpieli”. — Trzeba zatem było w licznych wypadkach powracających wprowadzać do domu wprost pod ochroną bagnetów. Przywódcy jednak staroruscy wolnych zawodów nie mieli do tego nawet żadnego tytułu. Zresztą nie mieli widoków zdobyć w kraju jakąkolwiek egzystencję. Ci z nich, którzy mieli trochę funduszów, uciekli do Czechosłowacji, gdzie mieli już od dawna nawiązane stosunki. Inni szukali schronienia pod skrzydłami Kołczaka i Denikina, usiłując tworzyć legion galicyjski i nie zaprzestając równocześnie, gdy spostrzegli, że sprawa idzie ciężko ze względu na brak ochotników, spoglądać w inną stronę. Oddajmy tutaj znów głos dr Wergunowi:

„...Minęły cztery lata i znów nowe spotkanie (Werguna z Głuszkiewiczem) w Moskwie, wiosną 1918 r. Głuszkiewicz, potajemnie wysłany przez urząd Denikina do Moskwy, członek „Sojuzu Wozrożdienija”, uczestnik konspiracyjnych zebrań w mieszkaniach moskiewskich ziemian — ja, docent prywatny moskiewskiego a profesor wybrany irkuckiego uniwersytetu i naczelny publicysta gazety „Wielikaja Rassija”, którą słusznie nazywano organem patriarszym. W Moskwie zebrała się wtedy niewielka grupa Galicjan, b. uczestników kursów pedagogicznych M. A. Łochwickiej — Skałon. Byli tu i pedagogowie, i studenci, i słuchacze wiejsko-gospodarczej Petrowsko-Razumowskiej Akademii. Między nimi wybijali się uczniowie prof. M. N. Pokrowskiego i utrzymujący pewne stosunki ze znanym działaczem ukraińskim N. A. Skrypnikiem, później narkomprosem Ukrainy, który niedawno skończył samobójstwem. Wtedy był on prawą ręką Stalina, zarządzającego Komisariatem narodowości. Z jego inicjatywy R. S. F. S. R., po śmierci Lenina, została przemieniona na ZSSR.

W głowie Głuszkiewicza powstała wtedy myśl utworzenia odrębnego „czerwono-rosyjskiego narodowego rewolucyjnego Komitetu” w celu przeciwdziałania ukraińskim zapędom („zamaszkam”). Myśl jego była taka: galicjanie, bukowińcy, chełmszczanie, poleszucy i nawet zachodni wołyniacy tworzyli historycznie odrębną narodowość czerwonorosyjską, nie zaś ukraińską. To jest parantela do „Białorusów”. Ziemie, które wchodziły w skład księstwa Daniela Romanowicza, tak dalece różnią się swym językiem i charakterem etnograficznym od ziem ukraińskich, że mogą one tworzyć jądro odrębnego politycznego tworu („obrazowanija”), który, mając prawo do samookreślenia, nie życzy sobie wchodzić w skład Ukraińskiej republiki, lecz powinien utworzyć odrębny kraj czerwono - rosyjski o ustroju autonomicznym. Statut tego czerwonorosyjskiego rewolucyjnego komitetu został przez Głuszkiewicza szybko ułożony. Przy pomocy moskiewskiego Czecha, Światopełka Konicza-Gorskiego, wynajęto w Petrowsko-Razumowskim stróżówkę, w której w dzień Zielonych Świąt zebrało się konspiracyjnie około 20 przedstawicieli kursów galicyjsko - rosyjskich i studentów. Miałem zaszczyt przewodniczyć na tym zgromadzeniu. Głuszkiewicz wyłożył swój statut pod dewizą: „*inseparabiles — insuperabiles*”. Statut, z bardzo nieistotnymi zmianami, został szybko przyjęty. Studenta Sz. obarczono rolą przedłożenia projektu, przez Skrypnika, komisariatowi narodowości, Sz. miał mnie informować o swoich czynnościach. Minęło jednak kilka dni, lecz Sz. nie pokazywał się. Dopiero rano 5 lipca, w dniu słynnego „powstania Sawinkowskiego”, po zamordowaniu hr. Mirbacha, Sz. zjawił się z wiadomością, że z przedsięwziętej akcji nic nie wyszło. Skrypnik, przeczytawszy statut, wpadł w ogromną złość („bolszuju jarość’ ”), nazwawszy go „zdradą galicjanów” i oddał całą sprawę do decyzji wszechmogącego Stalina. W owe dni musiałem się ukrywać w poselstwie serbskim”... Głuszkiewicz powiadomiony zawczasu, uciekł do Rostowa n/D. („Russkij Gołos” 34 z 1935 r.).

Przełożone na zwykły język, mają powyższe rewelacje takie znaczenie: 1) W 1918 r., kiedy „białogwardiejcy”, zatem obóz rosyjskich nacjonalistów i wszystkich wrogich bolszewikom elementów b. Rosji, prowadził walkę na śmierć i życie z bolszewikami i kiedy o jakimkolwiek kompromisie między tymi dwoma światami nie mogło być nawet mowy, leaderowie staroruscy, wiszący wciąż jeszcze przy nacjonalistach rosyjskich, a nawet przy t. zw. „czarnosecińcach”, członkowie „Sojuzu Wozrożdienija”, który poprzysiągł sobie bezwzględną walkę z bolszewikami i restaurację carskiej Rosji, nawiązują pertraktacje z bolszewikami, już wówczas utraciwszy wiarę w zwycięstwo tych prądów i sił, z którymi się związali i z którymi nie zrywali. Ci leaderzy wykazali szybko swoją przysłowiową trwałość przekonań, oświadczając gotowość przerzucenia się z platformy nacjonalizmu rosyjskiego, zbudowanego na zasadach narodowościowo - religijnych, na platformę bezbożniczo - międzynarodowego bolszewizmu. 2) *Wpadają na pomysł nie tyle nierealny, co niepoczytalny, utworzenia odrębnego galicyjsko - włodzimierskiego państwa, które weszłoby, jako względnie samodzielna jednostka, w skład związku sowieckich republik*, plan, który był zdradą wobec ich własnej ideologii o „jedynej, niepodzielnej” Rosji. 3) W swej naiwności i cynizmie, zwracają się z tym planem do Skrypnika.

Owi działacze staroruscy, zawiedzeni w swoich nadziejach na całej linii i pozbawieni w końcu, po upadku Denikina, wszelkiego oparcia w Rosji, powrócili częściowo do kraju, gdzie los przeznaczył im odegrać jeszcze raz pewną rolę polityczną.

Oczywista, że wzory starych weteranów partii nie mogły pozostać bez wpływu na młodszą generację. Miała ona więcej zmysłu rzeczywistości i nauczyła się na wojnie podążać drogą prostszą do celu. To jednak należy już do innej, najnowszej karty dziejów polityki staroruskiej.

Język rosyjski w szkołach ukraińskich

Pod powyższym tytułem ukazał się w moskiewskiej „Prawdzie" (nr. 84 — 7409 z 26.3.6. r.). Korespondencja T. Lilczenki z Kijowa. Wstrzymując się od wszelkich komentarzy, ponieważ mówi sama za siebie, przytaczamy ją poniżej w całości:

Tymi dniami odbyła się w klasie VIII B szkoły średniej w m. Wasilkowie klasówka z jęz. rosyjskiego, mająca na celu sprawdzenie postępów, dokonanych przez uczniów. Tekst do przedyktowania został nadesłany z Kijowa, z wydziału okręgowego oświaty ludowej. Nauczycielka Maria Siergiejewna Belonowa, o której dyrektor szkoły wyrażał się zawsze, jako o jednej z najlepszych wykładowczyń jęz. rosyjskiego, wyraźnie przeczytawszy tekst, długo dopytywała się uczniów, czy zrozumiałe są dla nich słowa rosyjskie: „lazgajut" (!), „stregoczut" (!) itp. Dodajmy, że sama dyktując, nie wszystko wymawia prawidłowo, np. „bágrowyj" zamiast „bagrówyj", „Kremlewska" zamiast „Kremlowska". Rezultaty klasówki okazały się opłakane, bowiem z 29 uczniów zaledwie 2 napisało ją na „dobrze", 3 na „dostatecznie", a cała reszta na „źle" i „bardzo źle".

Marią Siergiejewną Belonową wstrząsnęło.

— Nic nie rozumiem. Toż jeszcze 26 lutego dzieci napisały klasówkę doskonale. Tylko dwuch uczniów miało złe stopnie.

Czymże wytłumaczyć taką zmianę na gorsze? Bodaj, bieda w tem, że nazbyt zmniejszono liczbę godzin, przeznaczonych na naukę języka rosyjskiego i literatury rosyjskiej. 2 godziny na 5 dni, w tym jedna jedyna godzina na jęz. rosyjski! Dzięki podobnemu ograniczeniu wprost nie sposób wytrzebić pośród ósmoklasistów bezwstydną ignorancję w tym przedmiocie.

Niestety, brak postępów w nauce jęz. rosyjskiego jest nagminnym zjawiskiem nietylko w rejonowych ośrodkach Kijowszczyzny, ale i w samym Kijowie. W siódmych klasach 25 szkoły ukraińskiej wyraża się on 59 odsetkami stopni „złych", w klasach dziesiątych — 36-ioma. Połowa uczniów szkół 44 i 57 w Kijowie w ogóle nie zrobiła żadnych postępów. W czternastu szkołach okręgu charkowskiego klasy piąte wykazały brak postępów w jęz. rosyjskim u 40% młodzieży, siódme — u 66, dziesiąte — u 49.5.

Nauka jęz. rosyjskiego w szkołach ukraińskich stoi kiepsko. Uczniowie nie znają ani języka narodu rosyjskiego, ani jego przebogatej literatury.

Nacjonaliści typu burżuazyjnego, którym się udało wśliznąć do wielu agend Ludowego Komisariatu Oświaty i zdobyć tu szereg stanowisk, wyrządzili młodzieży ukraińskiej ogromną krzywdę przez to świadome oderwanie jej od kultury rosyjskiej. Oni właśnie puścili w obieg szkodliwą teorię o tych trudnościach, jakich nastręcza równorzędne traktowanie dwuch języków. Teoryjka streszczała się w twierdzeniu, że dzieciom ukraińskim, które się uczą języka ojczystego, trudno by było uczyć się jednocześnie także i rosyjskiego. Zamykając świadomie oczy na doświadczenia dawnej szkoły rosyjskiej, w której naukę obu języków zaczynano w pierwszej lub drugiej klasie, uparcie wbijali ową teorię do głów nauczycielom. Nauczyciele — zacofańcy zdobyli „ważki" argument na usprawiedliwienie braku postępów u uczniów.

W szkołach ukraińskich kuso z wykwalifikowanymi nauczycielami jęz. rosyjskiego. Np. w m. Stalino, w poczet wykładowców jęz. rosyjskiego w szkole 9-tej zaliczono buchaltera Chazanowa, o którego uczoności niech świadczy jego górnolotny raport, pełny takich oto biurokratycznych kwiatków: „wszystko wyż — wzmiankowane zapodaje według odnośnego rozporządzenia". Łatwo zgadnąć, jaki poziom mają jego wykłady.

W styczniu r. b., podczas egzaminów w 3 szkole pedagogicznej w Kijowie, na stu nauczycieli, dosłownie, jeden napisał dyktando z rosyjskiego na „dostatecznie", zaś wszyscy pozostali na „źle".

Ludowy Komisariat Oświatowy na Ukrainie i podwładne mu agendy oświatowe lokalne nie zaprzątają się wcale sprawą odpowiednich programów nauczania, czy podręczników, czy jakichś wytycznych co do samej metody dla wykładów i szkół. Przez czas dłuższy nie było w szkolnictwie ukraińskiego programu nauki jęz. rosyjskiego drugie klasy nie mają go po dziś dzień. Jakże trudno w podobnych warunkach uczyć jęz. rosyjskiego nawet tym pedagogom, którzy znają i lubią swój przedmiot! Z całą otwartością wypowiedział się w tej mierze dyrektor szkoły wasilkowskiej, tow. Hałuszko:

— Myśmy się zanadto przyzwyczaili karać surowo, brak postępów w nauce jęz. ukraińskiego i, z drugiej strony, uważać jęz. rosyjski za cudzoziemski, tj. trudny, wręcz niedostępny dla dzieci ukraińskich.

Utyskują też na to i prof. Muzyczenko, i nauczycielka Wasiljewa, i inni, i szczerze wskazują, że w Ludowym Komisariacie Oświaty panoszyło się mocne, acz kłamliwe przekonanie o niemożliwości przyswojenia jęz. rosyjskiego dziatwie ukraińskiej. Wreszcie, w b. r. szkolnym Ludowy Komisariat Oświaty wprowadził naukę jęz. rosyjskiego do klas drugich i to już od drugiego półrocza. Ale czasu na nią wyznaczył strasznie mało: 4 godziny na 5 dni.

W średnich i wyższych klasach zaczynają się uczniowie zaznajamiać z klasykami rosyjskimi. Wykładowca przychodzi do klasy ze swoją książką i czyta młodzieży urywski z dzieł Puszkina, Lermontowa, Turgieniewa i Hogola. Pozatem zaleca uczniom czytanki domowe z tych albo tamtych utworów klasyków rosyjskich. Ba! i w bibliotece szkolnej, i w kisęgarni są dzieła klasyków rosyjskich, lecz tylko w przekładzie na ukraiński.

Ludowy Komisariat Oświaty na Ukrainie wie, oczywista, o brakach w nauczaniu rosyjskiego w urkaińskich szkołach.

Zastępca komisarza ludowego, tow. Ignatienko złożył w tej kwestii cenne oświadczenie na zjeździe nauczycielskim w Kijowie:

W dziedzinie nauczania jęz. rosyjskiego zakrzątnęli się arcypracowicie nasi wrogowie — mówił tow. Ignatienko — przyznać jednak należy, że nowe kierownictwo oświatowe nie wiele zdołało odrobić, w ciągu ostatnich czterech miesięcy nie zdołano choćby sparaliżować tamtej działalności.

Z naciskiem i otwarcie podkreślając żałosne fiasko z nauką jęz. rosyjskiego, odpowiedzialni kierownicy oświaty ludowej na Ukrainie nie przedsiębiorą najmniejszych usilowań w kierunku naprawy wytworzonej rzeczywistości.

Un mauvais quart d'heure

Siedzy ja u siebi straszni smutny, a tu raptem stukani i wchodzi Tadzio. Stanął on na progu, nie mówi dzień dobry ani nic, tylko patrzy si na mnie, jak baran na wody. Nu, myśli ja sobi, milczysz ty, mogi i ja pomilczeć. Stał on tak z jedno minuty, a nareszcie mówi:

— Cóż to takiego?

— A co?

— Czegóż to u ciebi taka fiźjonomia, ży literalni chciałoby si wziąść jako cegły i rzucić tobi w twarz, żeby jo więcyj nie było na świeci, taka ona brzydka. I nie mówi ja tego, kochany Stasio, przez złośliwość, a tylko przez współczuci.

— Nu, żeli tak, to bardzo tobi dziękui. Ot, widzisz, pii ja herbaty. A ży to herbata, to ja wim tylko po smaku, bo ja jij nie widzy. Jeszczy póki stoi na stoli, to widzy, ali jak podniesy do dolnyj gęby, to nie, bo flukśja nie dai.

— To ty masz flukśji?

— Żelibym ja jo nie miał, to skądby ona u mnie była?

— To źle, mówi Tadzio. I ból, i widok wstrętny. A ja jak raz dostałem dwa ulgowy bilety do opery i przyszłem wziąść ciebi z sobą, bo jaż wim, jak ty muzyki lubisz.

— Twoja prawda, kochany Tadzio, i ja tobi bardzo dziękui. Ale dziś u mnie od tega zęba taka muzyka w głowi, ży nie trzeba i Wagnera.

— A czemuż ty, durny człowieku, nie pójdziesz do dentysty? On by tobi wyrwał zęba i ty za miesiąc byłbyś zupełni zdrów.

— „Za miesiąc"! Czegóż za miesiąc? Ja i za jedno godziny zdrów byłbym.

— Nu, tego ty tak na pewno nie mów, kochany Stasio. Tyż czytałeś w gazetcy, ży jak ten profesor wyrwał paćjentcy zęba, to ona nie to, ży za miesiąc, ali w ogóli na śmierć umarła.

— To jaż ciebi proszy, mówi ja jemu, zapisz ty mnie jego adres, żebym ja nigdy do niego nie trafił. Ja i sam wiem, ży, po francusku powiedziałszy, tego zęba kut czy kut wyrwać trzeba, ali do dentysty ja nie pójdy. U mnie taka natura, ży ja straszni boi si dentysty i nawet mogi z jego poczekalnego pokoju dać nogi. Ali ot moja gospodynia, u któryj ja pokój zajmui, pani Sitkowa, mnie powiedziała, ży jest tu niedaleczko jeden Chińczyk i on goło ręko bez bolu zęby wyrywa, to ja do niego i pójdy. A żeli ty jesteś wierny przyjaciel, to idź ty ze mno.

— Kochany Stasio, nie na to ja jurisprudenćji kończyłem, żebym ja w znachorów wierzył. Ty swojij pani Sitkowyj naplui w oczy za to, ży ona z ciebi durnia robi. Prawidła natury tego nie dopuszczajo, żeby żywemu człowiekowi nie bolało, jak jemu zęby rwo.

— Nu, mówi ja, prawidła natury i tego nie dopuszczajo, żeby profesor niewinno paćjentki na tamten świat wyprawił, a ot żeż zdarzyło si! To moży i tutaj zdarzy si, choć ja i sam w metafizyki nie bardzo wierzy. Nu; pójdziesz ze mno?

— Nie, kochany Stasio, choć ty mnie kraj, a nie pójdy. Ot, chiba dlatego, ży mnie bardzo żal ciebi za twojo flukśji, to już pójdy, Bóg z tobo.

Nu dobrzy. Idziemy my z nim do tego adresu, któren mnie dała pani Sitkowa, a Tadzio troszki mnie przytrzymui, żeby ja czasem nie uciekłem. Przyszli my do tego Chińczyka, ali on jeszczy zajęty był z kimś drugim, więc ja mówi do Tadzia cichim głosem:

— Dziwna rzecz: ja kiedyś jeździłem do Władywostoku i niemało Chińczyków widziałem, ali żadny nie był taki podobny na Żyda, jak ot ten.

— A wisz ty dlaczego? — mówi Tadzio. Bo tamci nie byli Żydami, a ten jest.

— Nieszczęści! Nienawidzy ja, kiedy mnie Żyd z rękami do ust wchodzi.

— A cóż to ty, kochany Stasio, rasowo nienawiść propaguisz?

— Nie przez rasowo nienawiść, a tylko jest we mnie taki samozachowawczy instynkt, ży ja daleko woli katolików.

— Nu pewni ty wolałbyś, żeby tobi jaka niczegowata rodaczka do twarzy dotrącała si! Ali teraz już mnie i samemu ciekawo, jak on tobi bez bolu rwać zęby będzi.

Nu, skończył ten Chińczyk z drugim paćjentem i bierzy si do mnie. Posadził on mnie na fotel i dawaj rwać zęba. Rwie on tego zęba i rwie, a ja dziwi się okropni nieprzyjemni, ży czegoż ono nazywa si bez bolu, kiedy taka męczarnia. Ali jeszczy więcyj zdziwiłem si ja, bo raptem czui, ży ja dzieś jady.

A ten Chińczyk puścił mnie i mówi:

— Przepraszam pana bardzo, ali ten fotel na rolkach, i jak ja pana ciągnąłem, to on i pokocił si. Moży szanowny przyjaciel przytrzyma fotel z tyłu.

— Nu dobrzy, mówi Tadzio. A co, Stasio? Bez bolu?

— Z bolem, mówi ja. Nu, ali ni ma co, rwijcie dalij.

Posadzili oni mnie znowu, Tadzio przytrzymui z tyłu, a Żydek znow rwie. Rwie on i rwie, a mnie aż iskry leco z oczu. I czui ja raptem, ży dzieś biegny. Okazui si — ja sam wstałem z fotelu i biegam za Żydkiem po całym pokoju. On i mówi:

— A czegóż pan wstał? Nu ali nic. Ot ja trochi odpoczny, z potu trochi obeschny i znow będziem ciągnąć. Tylko niech szanowny przyjaciel potrzyma pana za ciało, żeby pan nie zrywał si.

— Ja zgadzam si, mówi Tadzio, żeli ty, kochany Stasio, dasz mnie słowo honoru, ży nie będziesz łokciami bić mnie w fiźjonomii ani wierzgać si. Ono nawet ciekawo popatrzyć si.

— Kochany Tadzio, mówi ja jemu, jakżeż ja mogi słowo honoru tobi dawać, żeli ja ledwi jedne słowo mogi wydusić, tak mnie wszystko zapuchło?

Nu, posiedzieli my, odpoczęli trochi i znow do roboty. Stanęłem ja zadem do Tadzia, on mnie rękami obchwycił za brzuch, podparł si kolanem w moi siedzeni, a Chińczyk sta-

nął z przodu, wparł mnie kolano w brzuch i dawaj rwać tego zęba. I czy ty powierzysz? Jak żyi nigdy mnie nie zdarzyło si zemgleć, a teraz zemglałem tak-i. Pociemniało mnie w oczach, straciłem ja zeznani, a raptem czui, ży oni mnie wodo oblewajo. Ja i pytam si ich słabym głosem:

— A czegoż to wy mnie obliwacie wodo?

— A dlatego, ży ty, kochany Stasio, zeznani straciłeś. Dlatego my ciebi i obliwamy, żebyś ty, znaczy si, do przytomności wrócił.

— Nu, a ząb? pytam si ja. Wyrwany, czy siedzi na miejscu?

— Ząb wyrwany.

— Nu to i chwalić Boga, mówi ja. A iliż tobi, Żydku, należy si?

— Należy si mnie dziesięć złotych, mówi Chińczyk. Ali za to, ży nie udało si wyrwać bez bolu, to niechaj już będzi jeden złoty.

Ja zaczołem szukać sakiewki, ali Tadzio mówi:

— Daj pokój, kochany Stasio. Żeliby my poszli do opery, ja za ciebi zapłaciłbym, to ja teraz i zapłacy temu żydowskiemu panu; na toż ja i jestem twój wierny przyjaciel. A ot ja trochi odpoczny i wtenczas tego żydowskiego pana pobiji za oszukańsko praktyki.

— Proszy ja ciebi, kochany Tadzio, ty jego nie bij. Żeliby on umiał bez bolu rwać, to onby wyrwał bez bolu. A żeli nie umie, to nie nauczy się i od twojego pobicia.

— To ty znaczy si nie masz do niego rasowyj nienawiści?

— Nie mam, mówi ja.

— I nie chcesz, żebym ja jemu zrobił antysemicki ekscesy?

— Nie, mówi ja, nie chcy.

— Nu, mówi Tadzio, nie darmoż ja zawszy mówi wszystkim: czy ten kochany Stasio Lipiński bardzo rozumny, to ja nie wim, ali ży poczciwy człowiek, to poczciwy.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

VARIA

Z prasy polskiej

„Misja dziejowa Pana Frycza". To tytuł artykułu Aleksandra Bocheńskiego w „Polityce" (25.III). Autor dyskutuje z Karolem Fryczem („Prosto z Mostu" — art. p. t.: „Ze Wschodem czy Zachodem").

K. Frycz, pisze A. Bocheński, „zwraca się do Ukraińców z propozycją ni mniej ni więcej, tylko by poddali się dobroczynnemu wpływowi polskiej kultury".

Misja Polski leży, według Frycza, w tym, by „poszerzyć granice Europy i Zachodu". Śni się mu „jakiś nowy Hadziacz" i „podobna konstelacja całego szeregu gwiazd obracających się w koło polskiego słońca". „Każde — jednak — szersze poczynanie ze strony polskiej, każda akcja o szerszym oddechu rozbijały się zawsze o brak zrozumienia ze strony ruskiej". „I nic dziwnego, że przychodziło za tym zniechęcenie, bo trudno kogoś zbawiać wbrew jego oczywistej woli".

Aleksander Bocheński bardzo przekonywująco wykazuje niesłuszność wywodów autora z „Prosto z Mostu". W końcu pisze:

„Wielki krok naprzód ku zbliżeniu zrobilibyśmy, gdyby złożywszy deklamacje o „Wschodzie czy Zachodzie", oraz wspomnienie „Ksiąg Pielgrzymstwa" do muzeum pamiątek, skąd nie ma po co ich ruszać, gdybyśmy, powtarzam starali się trochę bardziej trzeźwo i rzeczowo poszukać istoty problemu. Istotą jest: Primo: nie jakieś mętne pojęcie wschodu, ale prosty i jasny postulat nacjonalizmu polskiego który musi rozbić organizm państwowy Rosji na części, z tego prostego powodu, że organizm ten może nam kiedyś zagrażać swoją potęgą. Narzędziem do tego rozbicia może być nacjonalizm ukraiński, i dlatego rozwój tego nacjonalizmu jest w naszym interesie, bez względu na jakiekolwiek „wpływy kulturalne".

Secundo. Na terenie Polski żyje kilka milionów ludzi uważających się za Ukraińców, i w interesie Państwa Polskiego jest, żeby nie mieć paru milionów obywateli wrogo usposobionych. Stąd konieczność szukania modus vivendi.

Drugie jest zupełnie możliwe bez pierwszego. Pierwsze bez drugiego nie.

Brutalne to, cyniczne. Perspektywa mniej piękna od wspaniałych, rozokolonych po niebie szeroko... frazesów. Ale jedynie trzeźwe, jedyne realne, jedyne co znajduje echo u Ukraińców, jedyne co nie wywołuje nowego paroksyzmu nienawiści. Można powiedzieć, że nie ma większej tragedii, jak los ludzi, którzy, jak to Pan Frycz słusznie powiedział „pragną zbawiać ludzkość wbrew jej woli", ludzi, którzy uważają że znają lepiej cele i środki polityki ukraińskiej od nich samych".

„To co do nas należy, — woła Pan Frycz — zrobić możemy i niewątpliwie zrobimy. A więc: przywrócimy walor naszej myśli państwowej, i poniesiemy znowu Zachód na Wschód.

Szanowny autor byłby niewątpliwie w kłopocie, gdybyśmy poprosili go o trochę bardziej konkretne określenie w jaki sposób mamy „nieść Zachód na Wschód". Czy nie lepiej poprostu powiedzieć, że co zrobić możemy i co zrobimy, to zwrócić Ukraińcom np. gimnazjum w Tarnopolu. Prozaiczne to, ale z pewnością bardziej by ich zbliżyło do Polski. Jedną z cech najbardziej charakterystycznych zachodu to jasność i precyzja. Jedną z cech wschodnich to bujanie w obłokach, deklamacje, słowa bez pokrycia. Gdybyśmy się mieli ograniczyć do tej cechy wschodu i zachodu, to niewątpliwie zgodni byśmy byli z Panem Karolem St. Fryczem.

Szanowny Autor jest na tej drodze, na której znalazł się dr. Jan Bobrzyński, gdy zaczął zajmować się sprawą ukraińską. Oby zawrócił i nie zaszedł tam, gdzie ten jego najbliższy antenat ideologiczny się znalazł".

„Kadra Młodych". „Dziennik Polski" (26.III) w notatce pod powyższym tytułem komunikuje:

„W związku z wiadomościami prasowymi o powstaniu nowej organizacji młodzieży pod nazwą „Kadra Młodych", jedna z agencji podaje szereg ciekawych szczegółów. Okazuje się, że celem organizacji jest wprowadzenie w życie Państwa polskiego sił i wartości bratnich narodowości współpracujących na ziemiach wschodnich i południowo-wscodnich R. P.

Do organizacji może należeć zarówno młodzież polska jak i ukraińska.

Poza tym dodać należy, że „Kadra Młodych" nie ogranicza się tylko do celu wiejskiego, lecz zamierza skupić również młodą inteligencję polską i ukraińską.

Inicjatywa tej organizacji zrodziła się w grupie akademickiej młodzieży z Wołynia, a przede wszystkim spośród b. wychowanków liceum krzemienieckiego.

Statut „Kadry Młodych" nie został jeszcze do tej pory zalegalizowany. Wspomniana agencja podaje, że nazwiska pp. Barbary Poniatowskiej i min. Poniatowskiego wśród członków założycieli nie widnieją".

Przegląd prasy ukraińskiej

„Radykalizacja nastrojów” „Diło” (26.III.) w artykule pod powyższym tytułem pisze:

„Nie ma żadnej wątpliwości, że w całym kraju zaznacza się radykalizacja nastrojów i że te nastroje nie ucichają a postępują dalej i pogłębiają się. Zjawisko to jest smutne, nikomu niepotrzebne, niebezpieczne dla świata konstruktywnej pracy i groźne jest swoimi konsekwencjami, które mogą znowu wstrząsnąć naszym życiem. A mimo to, to psychologiczne zjawisko jest zrozumiałe i pragmatycznie logiczne, albowiem ono pozostaje w naturalnym związku z rozwojem ogólnych zjawisk, z rozwojem politycznych stosunków polsko-ukraińskich”.

„Diło” stwierdza dalej, że latem 1935 r. nastroje polsko-ukraińskie doznały pewnego odprężenia. Zarówno ci, którzy zaangażowali się aktywnie w nowym kursie „normalizacyjnym”, jak i ci, którzy zachowali do tego kursu rezerwę — „zdawali sobie sprawę, że trzeba poczekać, zanim się pokażą konkretne wyniki tej zmiany taktyki politycznej”.

W każdym razie „nikt ze strony ukraińskiej aktywnie nowozapoczątkowanej taktyce nie szkodził”. Wyczekującą pozycję zajęła nawet wyraźna opozycja ukraińska, która na wzór polskich opozycyjnych partii, nie wzięła wówczas udziału w wyborach.

„Tak było — wnioskuje „Diło” — po stronie ukraińskiej i podobne nastroje były i po stronie polskiej”.

Miarodajny dla nastrojów polskiej ulicy aparat biurokratyczny był pod wrażeniem podróży min. Kościałkowskiego, rautu w województwie Lwowskim, komunikatów PAT'a o audiencjach i konferencjach. Aparat ten „był przygotowany, że oto przychodzi trwały przełom w całej narodowościowej polityce państwa i że przy realizacji tej polityki przyjdą obowiązujące prawa i ustawy”.

Atmosfera stosunków polsko-ukraińskich stała się lżejsza, lecz ten stan trwał bardzo krótko. Już bowiem — podczas najbliższej sesji budżetowej Sejmu 1935-36 ukazały się „nożyce” pomiędzy ukraińską, a polską taktyką polityczną. Ukraińska strona miała coraz więcej powodów do rozgoryczenia, polska zaś, głównie małopolskie społeczeństwo polskie, przekonywało się coraz bardziej, że cała „normalizacja” sprowadzała się tylko do wyborczego kompromisu, a po wyborach przestała obowiązywać. Do tego dołączyło się nieporozumienie co do samej treści „normalizacji”.

„Oczywiście — wnioskuje dalej „Diło”, że równocześnie w nastrojach ukraińskich nastąpiła i radykalizacja społeczna i narodowa, przy czym obydwie te dziedziny, ściśle się zazębiają, tworząc nieraz amalgamat swoistego nacjonalistycznego „komunarstwa”, czy komunizującego nacjonalizmu”.

„Jednocześnie ze wzrostem nastrojów sowietofilskich, dla których największym hamulcem jest bezmyślność bolszewicko-moskiewska ukoronowana moskiewskimi procesami, muszą odradzać się koncepcje orientacji prorosyjskiej”.

Póki co — cieszy się „ten trzeci”, oświadcza „Diło”, najbardziej zainteresowany w społecznej i narodowościowej radykalizacji nastrojów.

Charakterystyczne jest zakończenie tego artykułu:

„Ukraińcy od wieków mieli do czynienia z dylematem: „Polska czy Rosja”. Upadek „normalizacji” jakby automatycznie podsuwa wielu członkom społeczeństwa ukraińskiego myśl: jak nie Polska, to kto? I znowu zagraża odrodzenie się ery „Rady”, „Pracy” i „Nowych Szlachów”. Komu to będzie na korzyść i komu na szkodę?!”'

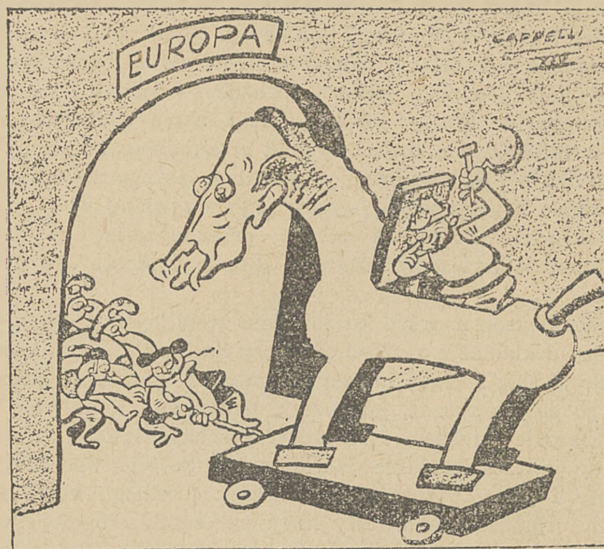
„Czeska polityka a Ukraińcy”. „Nowyj Czas” (24.III.) w art. pod powyższym tytułem pisze:

„Czeska polityka na Zakarpaciu wyraźnie skierowała swoje ostrze przeciwko ukraińskiemu ruchowi narodowemu. Tę okoliczność dziś już nie ma co zawijać w papierki, jak również i tej sprzeczności, że Czesi przez swój antyukraiński kurs kierują wodę młyn węgierskich planów rewizionistycznych i pracują na szkodę własnego państwa. Czesi wszelkimi sposobami podtrzymują na Zakarpaciu moskwofilstwo i „tutejszych”, ukrytych pod maską „russkości” czy „rusińskości” madziaronów, których ostatecznym zadaniem jest ponowne przyłączenie Zakarpacia do Węgier”.

„Ogólnie biorąc, Czesi stale zwalczają ukraińskość, pozorując tę akcję rzekomą irredentą ukraińską, której faktycznie nie ma, gdyż nie ma państwa ukraińskiego”.

Tylko po rumuńsku. „Diło” (26.III.) komunikuje: „Prawosławna rada biskupia w Besarabii nakazała odprawiać nabożeństwa w cerkwiach i kaplicach wyłącznie w języku rumuńskim. Nabożeństwa w języku staro-słowiańskim można odprawiać jedynie w domach prywatnych”.

BLUM STWORZYŁ RZĄD „FRONTU LUDOWEGO”.



Czerwony koń trojański po raz drugi w Europie („Komar”).

WARUNKI PRENUMERATY: W kraju: rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4.50, kwartalnie zł. 2.50, miesięcznie zł. 1. Zagranicą: rocznie zł. 16, półrocznie zł. 9, kwartalnie zł. 5, miesięcznie zł. 2. Cena numeru pojedyńczego 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Nowy Świat 66 m. 13. Telefon 234-60. Konto P.K.O. 26.842.

Redaktor i Wydawca: Włodzimierz Bączkowski.

NALEŻNOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ. *Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.*